

WITOLD KULA

W SPRAWIE NASZEJ POLITYKI NAUKOWEJ

Momenty takie jak dzisiejszy sprzyjają spojrzeniom wstecz i ocenom sytuacji. Zmuszają nawet do nich.

Spróbujmy więc jednego i drugiego.

Rzecz jasna i jedno i drugie może być osiągnięte jedynie kolektywnym wysiłkiem, jedynie w toku publicznej, jawnej dyskusji. Za zapoczątkowanie jej uważam niniejszy artykuł.

W związku z tym trzy zastrzeżenia.

1. Dążąc do możliwej pełności obrazu — poruszam w tym artykule dużą ilość spraw, nie mając rzecz jasna możliwości wyczerpania ich. Każdy z pomieszczonych poniżej punktów mógłby stanowić przedmiot oddzielnego artykułu. Takie ujęcie jest koniecznością, gdyż dyskusji na temat kierunku i metod polityki naukowej, osiągnięć i braków w aktualnym stanie naszej nauki, dotąd właściwie nie mieliśmy.

2. Artykuł niniejszy jest napisany z osobistego, indywidualnego punktu widzenia. Stąd liczne jego ograniczenia, będące wynikiem lepszej znajomości spraw jednego tylko środowiska, ograniczonych kompetencji merytorycznych autora, indywidualnych zainteresowań itd.

3. W artykule niniejszym nie ma nazwisk. Ma to być artykuł nie o czyichś błędach i czyichś zasługach — lecz artykuł przede wszystkim o polityce naukowej. Polityki od roku conajmniej 1945 uczyliśmy się wszyscy. Dziś czas by wyniki tej nauki podsumować, by wyciągnąć z niej wnioski, by trud i ofiary, związane z tą nauką nie poszły na marne. Byśmy coraz lepiej zdawali sobie sprawę z tego, co było błędne, a co słuszne. Byśmy mądrzej i skuteczniej działali na przyszłość.

SPOJRZENIE WSTECZ

Minione jedenastolecie w dziejach polskiej nauki historycznej daje się podzielić na wyraźnie wyodrębnione okresy.

Okres I — to lata 1945—1948. Od wyzwolenia do mniej więcej wrocławskiego zjazdu historyków. To okres odbudowy warsztatów nauki i nauczania. Wśród publikacji — parę pozycji dużej wagi, przeważnie napisanych przed wojną lub w latach wojennych. Poza tym zalew tandety, często przepojonej nieukrywanym nacjonalizmem. Próby „rewizjonistycznego“ spojrzenia na dzieje Polski jeśli wychodziły — to ze środowisk konserwatywnych i nacjonalistycznych. Środowiska postępowo-liberalne przeżywały w tym okresie powolną ewolucję, przyjmując zasady planowania nauki wcześniej, niż podstawy metody dialektycznej. Z zasad dialektyki pierwszy torował sobie drogę postulat integralnego traktowania procesu dziejowego, przy czym nie bez

wpływu był tu i fakt, że postulat ten głoszony był w pewnych kręgach nauki francuskiej (grupa „Annales“). Parę programowych artykułów marksistowskich obracało się w sferze ogólników (najczęstsza forma rozumowania: „trzeba przebadać archiwa, to wówczas okaże się, że...” — po co w takim razie badać, jeżeli z góry wiadomo, co się okaże?). Znajomość nauki radzieckiej w tym okresie była jeszcze minimalna. Na zjeździe wrocławskim myśl marksistowska reprezentowana była słabo. Zadbano oczywiście o to, by na plenarnym otwarciu wygłoszone zostało „orędzie“ marksistowskie — nie odważono się jednak poddać go dyskusji. Do obrad sekcyjnych wprowadzono bodajże trzy tylko referaty historyków partyjnych. Historycy bezpartyjni, którzy chcieli pomóc Partii w tym trudnym momencie, borykali się z trudnościami, bojkotowani przez oficjalne kierownictwo nie znajdowali oparcia w Partii. Na zjeździe wszyscy postępowi historycy czuli się słabi i niemalże osaczeni. Zjazd był w zasadzie rewią historii tradycyjnej. Konieczność mobilizacji sił stała się oczywista.

Rzeczy potoczyły się jednak inaczej.

Okres II — lata 1949—1952 — to okres „rządów silnej ręki“. Nie przypominały one w niczym tego, czym był niegdyś w ZSRR monopol „pokrowszczyzny“, która uniemożliwiając pracę innym „szkołom“, co napewno oddziaływało szkodliwie na rozwój nauki — sama jednak dokonała gigantycznego dzieła. Polityka naukowa u nas w latach 1949—1952 sprowadzała się do ogólnego zastoju i hamowania wszelkiej szerszej inicjatywy. Historycy powołani do napisania zbiorowego licealnego podręcznika historii Polski z zapałem odpowiedzieli na wezwanie — po którym nastąpiła cisza na lata i tylko jedna ich grupa, specjaliści od wczesnego średniowiecza, wyemancypowawszy się spod redakcji ogólnej, stworzyli dzieło naprawdę kolektywne i naprawdę, mimo licznych uproszczeń, nowatorskie. Gdy inne czasopisma humanistyczne wegetowały, gdyż stare, niemarksistowskie redakcje nie były w stanie tchnąć w nie życia — „Kwartalnik Historyczny“ wegetował kompromitująco, mimo że był przejęty przez redakcję marksistowską. Stworzone na zjeździe wrocławskim marksistowskie zrzeszenie historyków, które miało grupować wszystkich, pragnących zbliżyć się do marksizmu (w tym okresie i deklaracyjność miała swoją wagę) było od początku bojkotowane przez większość historyków partyjnych — a jednocześnie podstawowa dyskusja nad periodyzacją historii Polski toczyła się w gronie paru wtajemniczonych w zamkniętym pokoju. Wyniki tej dyskusji przeniesione na zjazd PTH w Łagowie wywołały ogromne zainteresowanie, zgromadzeni tam historycy wykazali pełną gotowość do współpracy — ich wyciągnięta ręka nie została jednak podjęta. Torpedowanie inicjatywy dotyczyło zresztą przede wszystkim historyków zbliżających się do marksizmu. Jednocześnie jedyną instytucją, która dysponowała w tych latach materialnymi i personalnymi środkami na prowadzenie badań naukowych w zakresie historii był Instytut Zachodni, wówczas jeszcze pozostający pod silnymi wpływami klerykałno-nacjonalistycznymi. W tymże okresie „ucieczki“ od historii przybrały charakter zjawiska społecznego. „Uciekano“ do archeologii, historii sztuki, ekonomii, prawa etc. co świadczyło, że w nauce historycznej było wówczas stosunkowo jeszcze „gorzej“, niż w naukach sąsiednich.

Gdy postawiono przed historykami zadanie przygotowań do I Kongresu Nauki Polskiej — niektórzy lękali się, jak dadzą radę jednoczesnej

pracy nad podręcznikiem licealnym i referatem kongresowym. Zbędne obawy! Przecież nikt z zwywających nie traktował tych wezwań poważnie.

I Kongres Nauki Polskiej był szczytowym osiągnięciem tego kierunku polityki. Najważniejszym dla postępu nauki miał być oczywiście okres prac przygotowawczych. Wiadomo, że w tym okresie niektóre podsekcje pracowały lepiej, a inne gorzej. Nie było jednak chyba żadnej podsekcji, która by nie pracowała wcale. Ten szczyt osiągnęła tylko podsekcja historii. Zwołana została tylko raz, w ostatniej chwili, już po (!) dyskusji nad referatem sekcji humanistycznej. Przedstawiono jej gotowy referat, do którego w tym momencie można już było wnieść tylko drobne poprawki. Główną tezę referatu było, że nauki historycznej w Polsce nie było i nie ma, i że my ją dopiero mamy stworzyć. Referat wzburzył opinię. Jak łatwo się domyślić, „obrady“ podsekcji na samym Kongresie, ku zadowoleniu organizatorów, przeszły już całkowicie spokojnie. Nikogo nie obchodziły.

W tym najcięższym okresie wspomnieć natomiast należy o czterech pozytywach:

1. Mam na myśli środowisko historyków prawa, w którym historycy partyjni zajęli całkowicie odmienną pozycję. Pracowali i dyskutowali z bezpartyjnymi, podejmowali z nimi wspólne imprezy, przekonywali w poważnych i lojalnie prowadzonych dyskusjach, mobilizowali otwieranymi perspektywami. Po paru latach rezultaty były dla każdego nieprzedezonego widoczne.

2. Mam na myśli Kierownictwo Badań nad Początkami Państwa Polskiego, obejmujące sferą swego zainteresowania w praktyce całe wczesne średniowiecze. Wielkie perspektywy badawcze, otwarte przez zastosowanie metodologii marksistowskiej a umożliwione przez poważne dotacje państwowe — porwały szerokie grono badaczy. Odcinkowi „opiekunowie“ ograniczali się do demonstrowania swego stanowiska. Mimo nich wspólnym wysiłkiem wykonano poważną robotę na dużym odcinku budowy marksistowskiej nauki historycznej.

3. Mam na myśli działalność jednej z warszawskich grup historyków bezpartyjnych, w tych latach dopiero z pozycji liberalnych zbliżających się do marksizmu. Mimo ogromnych trudności i niejednej porażki (np. sprawa „Zeszytów Dodatkowych“) Towarzystwo Miłośników Historii utrzymało „Przegląd Historyczny“, jedyne w tych latach naukowe pismo historyczne. PTH też wysunęło i zrealizowało ideę corocznych szerokich dyskusji naukowych na aktualne, konkretne tematy. Pierwszą z nich była tzw. Sesja Kołłątajowska. Rola „Przeglądu“ i zjazdów PTH była ogromna. Utrzymywały one ciągłość pracy historycznej, umożliwiały oddziaływanie naukowe i ideologiczne na całe środowisko historyków, pozwalały śledzić dojrzewanie ludzi i przyspieszać je.

4. Mam na myśli wreszcie zapoznanie się przez historyków polskich z nauką radziecką. Dokonało się ono niepostrzeżenie niemal w okresie między Wrocławiem a Otwockiem. W okresie Zjazdu Wrocławskiego znajomość ta była minimalna. Na Konferencji Otwockiej zadziwiła szerokością i wnikliwością.

Bo w kraju tymczasem działy się wielkie rzeczy. W ludziach zachodziły wielkie przemiany. Nikt nie podawał tym ludziom ręki, nawet kry-

tykować jawnie tego, co napisali, nie raczono, nieraz zaś wyciągniętą rękę odpychano. Wpływ przemian zachodzących w kraju był jednak silniejszy niż niewiara politycznego kierownictwa frontu historycznego. Oddolna presja (znów wnioszek PTH poparty przez MSW) uczyniła nieuniknionym zwołanie ogólnopolskiej konferencji metodologicznej.

Konferencja Otwocka na przełomie 1951 i 1952 r. była wielkim przeżyciem dla wszystkich historyków. Jeszcze panowały na niej „rządy“ dawnego typu. „Zorganizowana“ dyskusja, gwałtowne poszukiwanie wroga, pełne odizolowanie historyków radzieckich zmierzające (skutecznie) do przeszkodzenia swobodnym kontaktom historyków polskich z nimi, a będące wyrazem panującej wówczas (i do niedawna) tendencji do zachowania w rękach niewielkiej grupki monopolu na bezpośredni kontakt z nauką radziecką itd. Ale jednocześnie w ciągu tych dwóch tygodni w oczach załamywały się fałszywe, zakłamane opinie. Zobaczyliśmy, co się dokonało w nas samych w ciągu minionych lat. Lansowana w pewnych kołach teoria głosząca, że większość historyków polskich to „żywe trupy“ dodawała animuszu naiwnej młodzieży, lecz prowadziła do żalonych konfuzji. Natomiast na konferencji okazało się, że „żywe trupy“ ruszają się jakoś i przechodzą wraz z narodem wielkie przemiany. Przedstawiciele władz partyjnych i państwowych zobaczyli, że wbrew temu, co głosili ich informatorzy, większość historyków polskich to żywi ludzie, myślący i czujący, wrażliwi na otwierane przez marksizm ogromne perspektywy naukowe, pragnący i umiejący robić rzeczy pożyteczne, na które czeka kraj. Okazało się, że nie mieli racji ci komuniści, którzy faktycznie nie mieli zaufania do idei komunizmu, do jego wielkiej siły, przekształcającej kraj i naród.

I wtedy przyszła pomoc Partii.

Referat na Kongres Nauki kazał nam widzieć pomoc Partii w każdej przypadkowej recenzji z przypadkowej książeczki, którą jakiś aspirant ogłosił w „Nowych Drogach“. Prawdziwa pomoc Partii natomiast — to pomoc w zmianie linii polityki naukowej, pomoc w otwarciu drogi do intensywnej, planowej, mobilizującej wszystkie istniejące siły pracy. Trzeba jasno powiedzieć, że w tej dziedzinie, w której Partia miała swobodniejszą rękę, a więc nie w filozofii, nie w ekonomii, nie w historii XX wieku, lecz w zakresie historii do wieku XIX włącznie — tam nam te możliwości stworzyła już niemal cztery lata temu.

Na przyjęciu dla uczestników konferencji otwockiej premier Cyrankiewicz wznosił toast za przyszły Instytut Historii. Po roku prac przygotowawczych Instytut ten powstał 1.I.1953 r.

Od tego czasu do dziś, w ciągu trzech z górą lat, zrobiło się niemało.

Powstał Instytut, grupujący ponad stuosobową, w większości bardzo wartościową kadre. Odważna decyzja Instytutu tworzenia różnych zakładów w miastach prowincjonalnych, choć pociągnęła za sobą ogromne trudności organizacyjne, zapobiegła próbom (a były takie) wyjąławiania prowincji przez stolicę, osłabiania pod pretekstem istnienia Instytutu, innych ośrodków badawczych. Dość powiedzieć, że Instytut powstał, sprowadziwszy — rzecz niesłychana — jednego zaledwie człowieka z prowincji do Warszawy! Przeciwnie, powstanie Instytutu przyczyniło się do powstania paru, naprawdę żywych pracowni naukowych na prowincji, nawet w miastach nieuniwersyteckich. Wielkie imprezy zbiorowe, jak

„Historia Polski“, „Historia Śląska“, „Historia Pomorza“, zmobilizowały do twórczej pracy w paląco potrzebnych zakresach, dziesiątki autorów, a setki recenzentów, krytyków, dyskutantów. Wielkie konferencje (Śląska, Pomorska, Mickiewiczowska, 1905 roku) przy wszystkich swych brakach, podsumowywały, każda w swoim zakresie, jeden, a rozpoczęły nowy etap badań. Historyczne czasopiśmiennictwo naukowe wyszło z impasu. „Kwartalnik Historyczny“ stał się organem Instytutu i jednocześnie centralnym ogólnym periodykiem historycznym i choć wiele rzeczy nas w nim jeszcze nie zadawała (próby oddziaływania za pomocą „wstępniaków“ zamiast artykułów podstawowych, mała ilość prac o charakterze twórczo-syntetycznym, słabość polemiki naukowej, dotkliwe braki w informacji zagranicznej etc.) — to przecież porównanie trzechlecia „Kwartalnika“ 1953—1955 z trzechleciem poprzednim, 1950—1952 daje obraz jednoznaczny, obraz niesłusznej i słusznej linii politycznej. Od pierwszej chwili Instytut świadomie stanął na stanowisku, że choć powinien być centralną polską placówką naukową w swej dziedzinie — to nie wolno mu dopuścić do zepchnięcia go na pozycję monopolistyczną. Choć były na niego w tym kierunku pewne naciski — przeciwstawiał się im systematycznie i popierał rozwój szeregu innych placówek badawczych i periodyków naukowych.

Rzecz jasna nie chcę tu być zrozumianym w ten sposób, że wszystkie osiągnięcia minionego trzech i pół lecia przypisuję Instytutowi Historii. Byłoby to przecież sprzeczne z postawioną wyżej tezą o jego nie-monopolistycznym stanowisku. Powstanie Instytutu o niewiele tylko wyprzedziło początek wielkich przemian w naszym kraju i im przede wszystkim osiągnięcia te winny być przypisane. Chcę natomiast podkreślić, że Instytut ma i własne osiągnięcia i że reprezentował w tym okresie w zasadzie słuszną linię polityczną. Zasadnicza słusność tej linii politycznej może być stwierdzona tylko przez porównanie z tym, co się działo współcześnie w niektórych innych naukach humanistycznych i z tym, co się uprzednio działo w nauce historycznej. O słabych stronach dotychczasowej działalności Instytutu będzie jeszcze mowa dalej. Rzecz otwarta, w jakim stopniu linia polityki Instytutu powinna ulec modyfikacji dziś, w oparciu o doświadczenia zebrane i w zgodzie z dokonywującym się w całym kraju procesem przemian.

Wszystko, co się wyżej powiedziało, dałoby się streścić w słowach, że mimo ogromnych trudności w polskiej nauce historycznej w zakresie badań nad dziejami Polski do w. XIX włącznie — „nie było jeszcze tak źle“.

Piszący te słowa jest przekonany o słusności tej diagnozy. Wystarczy sięgnąć w szufladzie do papierów sprzed 10 lat. Do programów, jakieśmy wtedy pisali, do naszych głosów dyskusyjnych, artykułów, polemik. Wielką przebyliśmy drogę. Początki państwa polskiego, epoka Odrodzenia, wiek Oświecenia w Polsce, myśl rewolucyjna I poł. XIX w., sprawa chłopska w powstaniach narodowych — to chyba najważniejsze dziedziny, w których wiedza nasza, tak materiałowa, jak interpretacyjna, dokonała ogromnego skoku.

Z całym poczuciem odpowiedzialności można sformułować tezę, że trudno w dziejach nauki znaleźć dziesięciolecie, które dokonałoby takiego postępu w nauce.

PRÓBA DIAGNOZY

Ale ludziom, walczącym o socjalizm, nie wolno nigdy uspakajać się zwrotem, że „nie było jeszcze tak źle“. W każdym momencie ważniejsze są dla nich istniejące braki, niż osiągnięte już zdobycze.

Odwróćmy teraz obraz o 180° i postarajmy się wyliczyć główne braki aktualnego stanu polskiej nauki historycznej.

1. *Treuga Dei*. Zdaniem naszym największym brakiem ostatniego trzylecia było stosunkowo słabe tętno dyskusji naukowej i walki poglądów. Otwarte zostały szerokie możliwości pracy naukowej. Więcej, podjęto wielkie wysiłki w kierunku mobilizacji sił do pracy. Ale jednocześnie zapanował swoisty *treuga dei*. Czasopisma, bogate w działach rozpraw — cierpiały na „złośliwą anemię“ w działach recenzji i polemik. Na konferencjach naukowych, na których zapoznawaliśmy się z nowymi, ciekawymi, nieraz rewelacyjnymi materiałami — dyskusja rzadko zaśługiwała na to miano. W obawie, by nie powrócić do błędów likwidatorskiej polityki okresu poprzedniego — unikano krytyki w ogóle. Trudna metodologia marksistowska okazywała się niezmiernie łatwa. Wystarczyło wykazać „wciąż pogarszające się“ położenie chłopca, wystarczyło powiedzieć parę słów o „antynarodowej postawie klas posiadających“, wystarczyło powiedzieć coś brzydkiego o stosunku do Polski któregoś z państw zachodnich w którymś tam wieku — aby uchodzić za marksistę. Wystarczyło uprawiać żonglerkę pojęciem „obiektywnej postępowości“ — by uchodzić za dialektyka. W obawie, by nie powrócić do sekciarskiej, antynarodowej postawy poprzedniego okresu — wpadano w znaną skądinąd postawę lęku przed „szarganiem świętości narodowych“.

Gdy w okresie poprzednim ze skarbca tradycji narodowych przejmowano jedynie nieliczne, i to odpowiednio spreparowane elementy — w okresie ostatnim zarysowała się tendencja do przejmowania w czambuł wszystkiego, bez selekcji. Historykowi, protestującemu przeciwko temu — groziło, że przyłgnie do niego etykieta „sekcjarza“.

Powstanie „Frontu Narodowego“, „odwilż“ i wreszcie ogólnonarodowa dyskusja po XX Zjeździe — to kolejne etapy, które powinny walkę marksistowską historiografię ułatwiać, a faktycznie zostały przez wielu zrozumiane jako stopniowe wycofywanie się ze słusznych pozycji.

Trzeba mocno podkreślić, że to niesłuszne rozumienie naszych wielkich przemian ideologicznych cechowało zarówno niektórych spośród nie-marksyistów, którzy chcieli tu poprostu „skorzystać z okazji“ — jak i niektórych spośród marksyistów, którzy liczenie się z opinią społeczną rozumieją jako schlebianie jej.

Instytut Historii spełnił ogromną rolę w zakresie mobilizacji ludzi do pracy. Znacznie słabiej natomiast pełnił funkcję pionierstwa naukowego i ideologicznego, tak ważnego w tym właśnie okresie. Wysuwanie nowych zagadnień, podejmowanie wielkich dyskusji metodologicznych, walka o wyższe ambicje poznawcze, walka o pryncypialność marksistowskiej nauki — te zadania w słabym tylko stopniu były spełniane przez Instytut. Parę dyskusji, jakie przewinęły się na łamach „Kwartalnika Historycznego“ (o kryterium postępowości w historii historiografii, o charakterze powstań śląskich, o rozwarstwieniu wsi), mimo swych wielkich wartości — to kropla w morzu naszych potrzeb naukowych.

W tym zakresie zadania Instytutu są niemniej ważne niż w zakresie podejmowania wielkich imprez zbiorowych, organizowania reprezentacyjnych konferencji itd. Są nawet ważniejsze.

W tym zakresie nikt Instytutu nie wyręczy.

Walka o marksistowską historiografię w Polsce nie jest bynajmniej zakończona, jak się to wielu wydaje. Przeciwnie. Teraz właśnie stworzone zostały warunki podniesienia jej na znacznie wyższy poziom. Dla skuteczności tej walki musimy oczyścić pole ze wszystkiego, co naukę marksistowską dotąd kępowało, paczyło, nieraz kompromitowało.

2. *Walka o poziom.* Polska produkcja naukowa w zakresie historii jest bardzo duża. Wprawdzie mało jeszcze mamy monografii — ilość jednak zbiorowych tomów studiów oraz czasopiśmiennictwo, rzec można kwitnie, wyraźnie bogatsze niż w innych krajach demokracji ludowej. Zaczyna to już niepokoić niektóre dusze urzędnicze. Nie jest pozabawionym pikanterii fakt, że niektórzy (bynajmniej nie wszyscy) z niepokojących się o niski poziom naszych publikacji historyków — to ludzie, którzy faktycznie nie opublikowali nigdy nic, co by stało na niskim poziomie, w ogóle bowiem niewiele splamili się farbą drukarską. Ale mówmy poważnie. Cytują nam np. niektórzy zdanie S z o ł o c h o w a na XX Zjeździe o tym, że rozwoju literatury nie mierzy się ilością publikowanych książek. Według nas zdanie Szolochowa nawet w odniesieniu do literatury trąci nieco demagogią. Prawda, że może być nisko stojąca literatura, w której publikuje się dużo książek. Nie może być jednak wysoko stojącej literatury, w której publikuje się książek mało. Szeroka baza eliminacyjna jest koniecznym, choć oczywiście niewystarczającym warunkiem wysokiego poziomu literatury. To samo obowiązuje tym bardziej w nauce, a jeszcze silniej w nauce historycznej. Każdej redakcji jest bardzo łatwo odrzucić mierną pracę, będącą wynikiem ogromnego trudu. Ale skąd pewność, że trud ten będzie szybko na nowo wykonany przez wyżej uzdolnionego pracownika? I czy zawsze byłoby to ekonomiczne? Poziom wielu ukazujących się u nas prac historycznych jest słaby. Prawda. Obowiązuje nas walka o jego podwyższenie. Prawda. Ale drogą do podwyższenia poziomu jest nie „zastopowanie“ wydawnictw. Tej metody próbowaliśmy już z żałosnymi skutkami w l. 1949—1952. Drogą właściwą jest wzmacnianie krytyki i dyskusji naukowej w jej jedynej, w pełni demokratycznej formie, tzn. w druku, wysuwanie nowych zagadnień, podejmowanie, choćby w formie „hipotezy roboczej“, wielkich problemów syntetycznych.

3. *Historia najnowsza.* Tu wszystko niemal jest jeszcze do zrobienia. Nie będziemy nad tą sprawą zatrzymywać się dłużej, gdyż wymaga ona osobnego artykułu. Zwróćmy więc uwagę tylko na parę spraw.

Przed wszystkim znów obserwacja niepoprawnego optymizmu: dorobek nasz w zakresie historii dwudziestolecia jest znikomy — ale to dobrze. Można sobie przecież doskonale wyobrazić grube tomy, które udawadniałyby, że faszyzacja Polski dokonywała się dlatego, że w kierownictwie KPP znajdowali się agenci i prowokatorzy. O takich właśnie mówił Mikołaj na XX Zjeździe. Nic takiego się w Polsce nie ukazało. Jest to wielką zasługą opinii moralnej kraju i przede wszystkim opinii moralnej Partii, iż nikt nie mógł z czymś takim wystąpić.

No, ale to słaba pociecha.

Nie jestem entuzjastą badań nad dziesięcioleciem i nie widzę przed nimi wielkich możliwości. Specyfiką badania historycznego jest to, że badacz posiada mniej lub bardziej ale zawsze ograniczoną bazę źródłową — posiada natomiast znajomość skutków badanych wydarzeń. W stosunku do lat nam najbliższych sytuacja przedstawia się akurat odwrotnie.

Natomiast dwudziestolecie międzywojenne powinno stać się wielkim polem badań. Tu możliwości są ogromne, a XX Zjazd, jeśli go rozumieć uczciwie, a nie „dawkować“ jego zdobyczy, pozwala na badania uczciwe.

Co do tego potrzebne — to sprawa jasna dla wszystkich prawdziwych historyków.

Przed wszystkim uczciwość w stosunku do źródeł. Czas skończyć z ich kastrowaniem, ze skreślaniami z doniosłych dokumentów partyjnych nieaktualnych dziś haseł (w założeniu, że każde hasło, zawarte w zakończeniu dokumentu KPP sprzed 30 lat powinno i dziś nadawać się do wznoszenia), z poprawianiem stylu pamiętnikarzy, którzy po spędzonym na Syberii ćwierćwieczu popełniali rusycyzmy (w założeniu, że każdy bohater ruchu robotniczego musi być wzorowym stylistą według reguł dzisiejszej korektorki redakcyjnej), ze skreślaniami wszystkich osobistych, ludzkich wypowiedzi wielkich rewolucjonistów (w założeniu, że każdy rewolucjonista przed kaźnią ma prawo tylko okrzyki wydawać, nie ma zaś prawa westchnąć nad swym krótkim życiem, czy też boleć nad losem swej żony i dzieci). Czas skończyć z uznawaniem za tajemnicę (ostro strzeżoną, choć znaną starszym ludziom ze wspomnień, a młodszym historykom z dokumentów) stanowiska Partii, które albo było błędne na swój czas, albo też, słuszne w swoim czasie, dziś utraciło aktualność.

Czas skończyć z zajmowaniem się tylko „bohaterami pozytywnymi“, stylizowanymi na rycerzy *sans peur et reproche*.

Czas skończyć wreszcie z nieprzewalczoną jeszcze (choć przewalczaną już od pewnego czasu) czysto subiektywistyczną interpretacją historii najnowszej. Odnosiło się czasem wrażenie, że marksizm nie stosuje się do tej dziedziny badań. Tu wszystkie powodzenia czy niepowodzenia ruchu robotniczego interpretowało się *sub specie* osiągnięć czy błędów ideologicznych. Nie zostawało w obrazie miejsca na układ sił klasowych, na przemoc aparatu ucisku, na realną ocenę wpływu sił rewolucji w narodzie, na jakiegokolwiek względy obiektywne. Klasa robotnicza oderwana od narodu, partia od klasy, ideologiczne kierownictwo od życia partii — takie wrażenie odnosiło się z dawniejszych opracowań i choć widać już zmianę na lepsze — daleko jeszcze do naprawienia tych błędów.

Dopóki stosunek do historii ruchu robotniczego będzie taki, że każde jego posunięcie polityczne i każdy jego publikowany dziś dokument musi być całkowicie zgodny z dzisiejszą linią Partii — dopóty nie ma mowy o naukowych badaniach nad dziejami dwudziestolecia.

Musi też ulec zasadniczej zmianie stosunek do ruchów politycznych klas posiadających, drobnoburżuazyjnych i reformistycznego odłamu ruchu politycznego. Stosunek ten ulega już zmianie od pewnego czasu — nie wiem jednak, czy zawsze w dobrym kierunku. Stwierdzenie, że „i w endecji byli nieraz prawdziwi patrioci“ — nic nie daje i nie ma nic wspólnego z marksizmem. Subiektywnym patriotą był i Adam Czartoryski, i Stanisław Tarnowski, i Józef Piłsudski. Marksizm jednak słusznie

uczy, że ludzi ocenia się nie według ich uczuć (to zadanie Sądu Ostatecznego) — lecz według ich czynów. Jednakże załatwianie wielkich ruchów politycznych, które mimo swego kontrrewolucyjnego charakteru umiały mobilizować miliony, i to nie tylko kapitalistów czy obszarników, słowami „agentura“ (piśsudczyzna) czy „dywersja“ (PPS) — nie zaprowadzi nas daleko. Dzieci w czwartej klasie uczymy (niepotrzebnie zresztą) o „błędach luksemburgizmu“ — a w badaniach naukowych nie wyciągamy z ich stwierdzenia konsekwencji. Trzeba zrozumieć i obiektywne, głęboko tkwiące ich źródła — i dalekosiężne ich skutki. Są to sprawy niedawne, sprawy żywe w świadomości narodu, sprawy, które głęboko zaważyły na jego kulturze (literatura!) i dalszych losach. Dopuszczanie do sytuacji, w której czytelnik jest mądrzejszy od piszącego (przynajmniej od zdań, które on uznał za słuszne napisać), jest samobójstwem historyka i jest łamaniem potężnej broni ideologicznej, jaką w każdym społeczeństwie jest nauka historyczna.

Przejdźmy teraz do braków, występujących w naszych badaniach nad dziejami Polski do w. XIX włącznie.

4. *Sprawy warsztatu.* Przede wszystkim wskażmy na braki w zakresie techniki badania naukowego.

Dopuszciliśmy do rozbicia warsztatów, specjalizujących się w tzw. naukach pomocniczych historii. W działalności naszego patrona Lelewela doskonale godziła się walka o historię, badaną z punktu widzenia mas ludowych — z budowaniem zrębów „nauk, dających poznać źródła historyczne“. Mało powiedzieć „godziła“: warunkowała skuteczność. U nas z paru, jak najślusniejszych twierdzeń marksizmu potrafiiono wyciągnąć jak najfałszywszy wniosek o niewłaściwości uprawiania nauk pomocniczych jako takich. Podejmując słuszną walkę z tradycyjnym, formalistycznym pojmowaniem nauk pomocniczych — ochrzczono wszelkie nauki pomocnicze potępiającym słowem „formalizm“. Tym, którzy pragnęli przystąpić do ważnego i trudnego zadania przebudowy tych nauk (w skład której wchodziło między innymi rozciągnięcie ich badań na źródła do dziejów nowożytnych i najnowszych) — nie tylko że nie podano ręki, lecz rzucano im kłody pod nogi.

Skutki tego można by wyliczać w nieskończoność.

Dla najprostszych czynności przy ustalaniu np. daty dokumentu historyk do dziś musi posługiwać się „*Vademecum*“ Wierzbowskiego (1926!), które *nota bene* dzisiejsze potrzeby zaspakaja w minimalnym stopniu.

Nie wydaliśmy w dziesięciolecie drukiem ani jednego (!) przewodnika po archiwum czy inwentarza archiwalnego. Jakże więc mamy uczyć studentów metodycznej drogi dotarcia do źródła?

Prace nad bibliografiami ruszyły z martwego punktu dopiero po powstaniu Instytutu i trzeba jeszcze czekać parę lat, nim wydadzą owoce.

Na brak wszelkich pomocy naukowych zdani są przede wszystkim historycy XIX i XX w., a więc tych dziedzin, które specjalnie pragniemy rozwijać. Nie dziwny się więc niskiemu często poziomowi technicznemu nowych prac i nie zrzucajmy na młodych autorów odpowiedzialności za nasze winy.

Podobnie na obniżenie poziomu warsztatowego wpłynęło utrudnianie w pewnych wypadkach specjalizacji rzeczowej. Zamiast wyspecjalizowanych warsztatów tworzyło się ogromne katedry, w ramach których spe-

specjalizacja była niemożliwa — i zarzucano im potem szkodliwość i słabość życia naukowego. Ciekawą sprawą są np. losy katedr i przedmiotu zwanego historią gospodarczą. Z paru jak najślusniejszych twierdzeń dialektyki potrafiiono wyprowadzić jak najniesłuszniejszy wniosek o szkodliwości takiej specjalizacji. Lekceważona przed wojną historia gospodarcza dostała się, niespodziewanie dla siebie, pod ostrzał z drugiej strony. Piszącego te słowa przed rezygnacją ze specjalizacji uratowała w czas przedsięwzięta ucieczka z Wydziału Historycznego na Wydział Ekonomii Politycznej, połączona z opłatą drobnego cła na rzecz „imitatorów“ w postaci zgody na zmianę nazwy z „historii gospodarczej“ na „historię gospodarki narodowej“.

Specjalizacja rzeczowa w nauce jest pozytywnym wyrazem jej rozwoju. Specjalizacja w każdej nauce, mimo powiązanych z nią niebezpieczeństw, którym należy przeciwdziałać, jest warunkiem postępu badań. W każdym razie przeciwko specjalizacji rzeczowej nie wolno występować historykowi-marksiście, walczącemu o teoretyczne pogłębienie badań. Nikt nie jest w stanie pogłębić znajomości teorii wszystkich dziedzin społecznego życia: i ekonomii, i prawa, i wiedzy o wojsku i wojnie, i wiedzy o kulturze itd. Utrudnianie specjalizacji rzeczowej również powoduje ogromne obniżenie poziomu warsztatu badawczego. Ci, którzy umieli obronić swą branżową specjalizację, np. historycy prawa, mają też bezsporne osiągnięcia.

W oparciu o wielki ilościowy rozwój badań historycznych — powinniśmy walczyć o podwyższenie ich poziomu przez planowe doskonalenie techniki i teorii w praktyce warsztatu badawczego.

5. *Partykularyzm*. Poważnym brakiem naszej pracy jest partykularyzm. Rozpaczliwy stan historii powszechnej u nas jest faktem známym. Wymaga to ostrych środków zaradczych, podejmowanych z wieloletnią perspektywą i zdrowym rozsądkiem. Od szeregu lat większość naszych studentów i aspirantów, studiujących w ZSRR, specjalizuje się ... w historii Polski. Gdyby nie ten przejaw braku perspektywy i zdrowego rozsądku, już dziś inaczej wyglądałby stan historii powszechnej w Polsce.

Z drugiej strony jednak musimy trzeźwo patrzeć na rzeczy. Możliwości naukowego uprawiania w Polsce historii powszechnej, zwłaszcza nowożytnej i najnowszej, tj. od momentu, w którym podstawą badań przestają być źródła drukowane, nie są wielkie. Są z różnych obiektywnych przyczyn mniejsze niż w innych krajach. Trzeba wykorzystać w tym zakresie wszystkie istniejące możliwości, które są większe, niż się zdaje — ale i to nie wystarczy jeszcze do wyprowadzenia nauki polskiej z partykularza.

Właściwym wyjściem z partykularza winno być moim zdaniem traktowanie podstawowych zjawisk historii Polski z niepartykularnego punktu widzenia. Losy Polski w wielu zasadniczych okresach jej dziejów nie toczyły się w partykularzu. Takie zjawiska, jak na przykład tak zwane wtórne poddaństwo, jak pruska droga rozwoju kapitalizmu, jak przewrót przemysłowy, jak ruchy narodowo-wyzwoleńcze — były zjawiskami europejskimi. Partykularne ich traktowanie nigdy nie doprowadzi do ich zrozumienia. Pierwsze próby w kierunku szerszego ich ujmowania wykazują płodność tej metody. Każdy ambitny historyk Polski powinien być w pewnej mierze historykiem powszechnym. Tylko na tej dro-

dze moim zdaniem naprawdę zburzymy partykularne ramy, ograniczające dziś często pole naszego widzenia.

6. *Wulgaryzacja*. W badaniach historii Polski do w. XIX włącznie na ogół nie mieliśmy do czynienia z przeinaczaniem faktów czy kastroowaniem dokumentów (niektóre wypadki z tego typu obciążają raczej nie autorów, lecz nadgorliwe wydawnictwa, których presji autorzy ci nie umieli się przeciwstawić). Stwierdzenie to jednak nie wystarcza do samouspokojenia. Mieliśmy bowiem jako zjawisko częste (nie masowe), jednostronną selekcję faktów, fałszywą selekcję źródeł, przemilczanie źródeł i argumentów przemawiających przeciwko przyjętej (raczej „przejętej“) nieraz z góry tezie. W pracy historyka-nowożytnika sprawa ta staje się decydującą dla rozwoju i postępu nauki. Przy pracach mediewistycznych wszyscy dyskutujący znają, a w każdym razie mogą znać w zasadzie całą podstawową bazę źródłową. W pracach nowożytnicznych rzecz przedstawia się całkowicie odmiennie. Regułą jest tu, że bazę źródłową do danej konkretnej monografii zna tylko jej autor, w najlepszym razie jeszcze dwóch-trzech kolegów. Dyskusja i krytyka sprowadzać się musi w takim wypadku do rozważań metodologicznych i interpretacyjnych na bazie wyselekcjonowanego przez autora materiału. Uczciwość autorska odgrywa więc tu podstawową rolę. Do jej wytworzenia nie wystarcza uświadamianie autorom, że towarzyszące dokonywanej przez nich selekcji poczucie bezkarności jest głęboko zawodne.

Nie wystarczy jednak stwierdzić, że były wypadki dobierania źródeł i faktów do tezy. Należy zastanowić się, dlaczego były, w jakim kierunku szły, jakich tez w ten sposób dowodzono.

Sprawa wiąże się z ilustracyjną funkcją nauki. Gdy nauka ma dowodzić dostatecznie już udowodnionych i sprawdzonych podstawowych tez marksizmu, gdy ma tylko ilustrować je polskim materiałem — wówczas powstaje sytuacja, sprzyjająca opisanym tu praktykom. Nie mieszczący się w schemacie dokument wywołuje panikę u autora. Nie potrzeba dowodzić, że udowadnianie udowodnionego jest samobójstwem nauki.

7. „Aktualizacja“. Praca badawcza jest i być powinna kierowana aktualnymi potrzebami życia. Rzecz w tym, jak te potrzeby rozumieć.

Jednym z sposobów jej rozumienia jest rocznicowość. Nie jestem pryncypialnym przeciwnikiem rocznicowych mobilizacji wysiłku naukowego. Nie były one w minionym dziesięcioleciu bynajmniej tak przypadkowe, jakby to z samego pojęcia rocznicy wynikało. Rocznicą Wiosny Ludów, kołłątajowska, kopernikowska, pomorska, mickiewiczowska czy 1905 r. — były schwytnym przypadkowej okazji dla mobilizacji sił w zakresach, w których taka mobilizacja faktycznie leżała w interesie nauki i życia ideologicznego kraju. Owoce np. konferencji kołłątajowskiej zbieramy do dziś dnia.

Ale rocznice nie mogą na świat naukowy spadać jak klęski żywiołowe. Uniknąć tego można tylko dzięki z jednej strony planom perspektywicznym, z drugiej zaś poprzez podchwytywanie takich właśnie rocznic, których „obchód“ jest dostatecznie przygotowany dotychczasowymi badaniami, gdzie przejściowa mobilizacja sił może pomóc dotychczasowe badania podsumować, krytycznie je ocenić i wytyczyć drogę badaniom przyszłym.

Aktualizacja rozumiana jest jednak często w gorszy niż rocznice spo-

sób. Znam wypadki wprowadzania istotnych korektur do planów badawczych na skutek takich czy innych, często nawet o przejściowym znaczeniu wypadków politycznych krajowych czy zagranicznych. Znamy wypadki dostosowywania do takich wydarzeń wykańczanych czy gotowych już nawet prac.

Takie zjawiska są niewątpliwie groźne.

Poważna praca naukowa trwa lata. Gdy mówimy o aktualności badań naukowych musi to być aktualność nie w skali „etapu“ (liczonego zresztą najczęściej od Plenum do Plenum) — lecz w skali epoki.

8. *Schematyzm*. I tego oczywiście nie braknie w nowszych pracach historycznych. Przypominają się tu słowa Erenburga o tym, że „schemat nie jest zły — źle jest, gdy jest tylko schemat“. Dawno temu, w l. 1945—1949, walka o „schemat“ miała doniosłe znaczenie polityczne i naukowe. Szło wtedy o zdobycie historyków polskich dla teorii o zasadniczej prawidłowości rozwoju historycznego. Dziś to zadanie jest już daleko za nami. Schemat w pracy historycznej winien być jak szkielet w żywym organizmie: na nim trzyma się cała konstrukcja — on sam jest jednak niewidoczny. Organizm wychudzony, szkielet powleczone skórą — nigdy nie będzie ani zdrowy, ani piękny.

Co ważniejsza: będzie bezsilny. Cóż da nam schemat dla zrozumienia losów dziejowych narodu polskiego, gdy chcemy przecież zrozumieć, co ukształtowało go takim, jakim jest? W wyjątkowych wypadkach stworzenie nowego schematu czy też modyfikacja starego może być celem badania. W ogromnej większości wypadków schemat powinien być narzędziem badawczym — ale biada, gdy staje się wynikiem badania.

Wiek trwająca w nauce historycznej dyskusja o tym, co jest ważniejsze w nauce historycznej: prawidłowość czy specyfika — nie powinna być problemem dla historyków marksistowskich. Nie stoją tu oni wobec konieczności wyboru. Specyfika nie jest wyjątkiem od prawidłowości, jak to często u nas rozumiano (skąd jedni jej szukali, a inni bali się jej) — lecz formą przejawiania się prawidłowości. Badając specyfikę — badamy prawidłowość, i odwrotnie. Tylko na tej drodze możemy dojść do zrozumienia naszych dziejów i naszego narodu. Tylko na tej drodze nauka historyczna może być teraźniejszości użyteczna.

9. *Cenzorska postawa wobec przeszłości*. Ile jej jeszcze w naszych pracach i jak bardzo razi ona, i słusznie, świadomość ideologiczną naszych współobywateli! Postawa wymagającego egzaminatora, rozdającego stopnie, rzadko wyższe, nigdy piątki! Gdy mowa o wielkich ideologach przeszłości — jakże często dla badacza ważniejszy jest szczyt, do którego nie doszli, niż trudna droga, jaką przebyli! Wysoko umieszczona poprzeczka, przez którą nikt nie przeskoczy, stała się już przysłowiowa w naszym środowisku.

Jakże długo nie zaspokajała nas bohaterska, nieustępliwa, z pokolenia na pokolenie przekazywana, podminowująca cały ustrój feudalny walka klasowa chłopów i z uporem godnym lepszej sprawy szukaliśmy w naszych dziejach jakiejś ukrytej rzekomo przez naukę burżuazyjną wielkiej wojny chłopskiej! Naiwni! Wielkich powstań chłopskich nie można „odkryć“, gdyż nikt nie był w stanie ich „zakryć“, tak jak nie potrafiły ukryć wojny chłopskiej w Niemczech czy powstania Pugaczowa dostatecznie chyba reakcyjne historiografie niemiecka czy rosyjska.

Z tą cenzorską postawą, z którą już od pewnego czasu walczymy, trzeba skończyć zdecydowanie.

10. *Pesymizm.* W niedawnej dyskusji nad makietą I tomu „Historii Polski“ jeden z dyskutantów powiedział rzecz zastanawiającą. Powiedział mianowicie, że ogólne wrażenie z lektury tych tomów jest niesłuchanie pesymistyczne. Dzieje Polski przedstawiają się w nich smutno, tragicznie, pozbawione są piękna i wielkości. Wielu z nas poczuło wówczas, że mówca utrafił w to, cośmy też odczuwali.

Moja 15-letnia rozmówczyni, z którą dyskutowałem o „Odprawie Posłów Greckich“, umiała mi powiedzieć i o folwarku pańszczyźnianym, i o eksporcie zboża, i o anarchii szlacheckiej, i o wyzysku chłopca (zawsze „rosnącym“) — nie wiedziała tylko, że był to okres, w którym Polska stała u szczytu potęgi politycznej, gospodarczej i kulturalnej. Po zaznajomieniu się z podręcznikiem, z którego czerpała swą wiedzę, przyznałem, że miała prawo o tym nie wiedzieć.

Pewnie, dzieje Polski były wyjątkowo tragiczne i nie jest przypadkiem, że wówczas, gdy była u szczytu potęgi jej ideolodzy stawiali przed nią widmo upadku. Pewnie, musimy wciąż walczyć z legendą o mocarstwowej Polsce „od morza do morza“, z kultem bezmyślnej brawury i wiecznej, całopalnej ofiary „kamieni na szaniec“. Pewnie, musimy na każdym kroku ukazywać dolę mas ludowych i cenę, jaką płaciły one za wszystkie polskie sukcesy i klęski.

Ale nie wolno nam na tej drodze zgubić swoistej wielkości i swoistego piękna naszych dziejów. Wiemy przecież, że każdy naród, nawet najmniejszy, wnosi do kultury światowej wartości niepowtarzalne.

Walkę z kosmopolityzmem prowadzono u nas gromko i buńczucznie. Ubiegnięci w tym — nie mogliśmy stworzyć teorii „priorytetu“. Ale dochodzono u nas nieraz do swoistej teorii samoródtwa ideologicznego. Za wstydlivy lub conajmniej nieważny uważano np. wpływ wielkich myślicieli francuskich na polskie Oświecenie. Skutecznie nieraz rozbijano obraz kształtującej się w dziejach, doniosłej i pięknej międzynarodowej łączności walki o postęp. Ale tego, co w walce z kosmopolityzmem było najbardziej zdrowym ziarnem: postulatu ukazania we własnych dziejach owej niepowtarzalnej wielkości i niepowtarzalnego piękna — tego jeszcze dotąd nie potrafimy. Schematyzm z jednej strony, cenzorska postawa z drugiej, partykularne traktowanie naszych dziejów z trzeciej — wszystko to nam realizację tego zadania uniemożliwiało.

Jeśli nauka historyczna ma być terażniejszości użyteczna, jeśli ma być, jak mówił Mochnacki o literaturze, „poznaniem narodu w jestestwie swoim“ — musimy z tym zerwać całkowicie. Tylko w ten sposób zrozumiemy nasz naród, tzn. zrozumiemy samych siebie. Naród, któremu już różne rzeczy w dziejach mówiono. Mówiono mu, że jest „Chrystusem narodów“, że jest „pawiem narodów i papugą“, i któremu potrafiąco też bezkarnie powiedzieć, że jest „narodem idiotów“.

Staliśmy na progu niebezpieczeństwa, że przedziemy do historii nauki jako nowa „szkoła pesymistyczna“ w historiografii polskiej.

11. *Walka o odzyskanie zaufania społeczeństwa.* Gdy społeczeństwo nie ma zaufania do nauki — nie warto pracować. Inaczej było w dawnych wiekach. Dziś zaufanie społeczne powinno dodawać uroku pracy naukowej, mobilizować do większego wysiłku, chronić przed zwątpieniem.

Wszystkie omówione w powyższych punktach sprawy spowodowały, że kapitał społecznego zaufania w stosunku do nauk humanistycznych w ogóle, a wśród nich i historii, został nadwątlony. Nagrzeszyła tu najbardziej historia najnowsza — ale myliłby się bardzo ten, kto by przypuszczał, że tylko ona. Wyraźnie zmniejszone zainteresowanie historią wśród młodzieży szkolnej, a nieufność w stosunku do niej wśród starszego pokolenia — są faktami, na które nie wolno zamykać oczu.

Zainteresowania nie wzmożemy bez walki o nową formę wykładu.

Trudniejsza sprawa z odzyskaniem zaufania.

Nie osiągnie się go bez jawnej, publicznej, demokratycznej (tzn. znajdującej pełny wyraz w druku) krytyki popełnionych błędów.

POSTULATY ORGANIZACYJNE

Wnioski organizacyjne nie rozwiążą oczywiście w nauce wszystkiego. Nie wolno ich jednak lekceważyć. Spróbuję wysunąć ich tu parę do dyskusji.

1. Należy czym prędzej odtworzyć specjalizację badawczą i dydaktyczną w zakresie nauk pomocniczych historii.

2. Należy sprzyjać powstawaniu w Instytutach i uczelniach zespołów o specjalizacji rzeczowej.

3. Należy znacznie zwiększyć ilość wyjazdów zagranicznych, rozszerzając kadre wyjeżdżających o zaawansowanych i wypróbowanych pracowników młodszego pokolenia. Należy zwiększyć znacznie ilość importowanych wydawnictw zagranicznych, przy czym nie wolno rezygnować z uzupełnienia narosłych w latach minionych luk. Rzeczą nie ruszy z miejsca bez znacznego uproszczenia formalności: naprawdę twórczy pracownicy naukowcy nie przodują zazwyczaj w umiejętności zwalczania stwarzanych przez biurokrację przeszkód.

4. Należy umożliwić Instytutowi Historii stanie się tym, czym być powinien i czym być od chwili swego powstania pragnie: centralną, bynajmniej nie monopolistyczną instytucją naukową w zakresie całej historii Polski (postulat analogiczny w stosunku do Instytutu Historii AN ZSRR padł i na XX Zjeździe). W tej chwili nieraz ci sami, którzy robią wszystko, by uniemożliwić mu zdobycie wykwalifikowanej do pracy nad historią XX wieku kadry — krytykują go ostro za nieuprawianie tej dziedziny. Głoszonym przez 11 lat jak najśluszniejszym hasłem o tym, że historii nie wolno „urywać“ na początku kapitalizmu, że historia najnowsza jest najważniejszą dziedziną historii, że dzieje narodu są całością, która jako całość może być zrozumiana — muszą zacząć odpowiadać czyny.

5. Należy stworzyć długofalowy, oparty o pomoc zagraniczną plan odbudowy w Polsce historii powszechnej. I postulat żenujący swą śmiałością: powierzyć wykonanie go historykom pracującym naukowo w zakresie historii powszechnej.

6. Winien, moim zdaniem, ulec zmianie stosunek wielu spośród historyków partyjnych do państwowych (PAN-owskich czy uniwersyteckich) instytucji naukowych. Łączenie stanowisk jest u nas chorobą nagminną, z którą czas by już zacząć walczyć, lecz którą nieprędko przewalczymy całkowicie. Z tego muszą wypływać wnioski praktyczne. Gdy kiedyś,

w czasach konspiracyjnych, członek Partii posyłany był „na robotę“ raz do jednej, raz do drugiej instytucji — rzecz zrozumiała, że produkcyjne zadania tych instytucji schodziły w jego działalności na drugi plan. Wyrażała się w tym wówczas piękna postawa rewolucjonisty. W 11 lat po przewrocie społecznym i ujęciu władzy przez klasę robotniczą stosunek członków Partii do instytucji państwowych powinien już chyba ulec zmianie i uległ, jak się zdaje, w większości dziedzin naszego życia. Nie zawsze w nauce. Wystarczy zanalizować stan rzeczy na Wydziale Historycznym UW, stołecznym, najbardziej przecież predestynowanym do wykształcenia młodej kadry, dojrzałej politycznie, przygotowanej do pracy badawczej i dydaktycznej w zakresie historii najnowszej, a który faktycznie ustępuje w tej dziedzinie niektórym innym uczelniom, gdyż wszystkie jednostki kwalifikujące się do takiej pracy skutecznie wysysają z niego instytucje partyjne. Wystarczy zobaczyć skład osobowy zebrań naukowych czy nawet otwartych zebrań partyjnych w Instytucie Historii PAN. Nie może trwać taki stan rzeczy, w którym część (bynajmniej oczywiście nie wszyscy) historyków partyjnych posiadając etaty w instytucjach państwowych, przecież główny swój warsztat naukowy i dydaktyczny, swoje plany naukowe i ambicje mają ulokowane gdzie indziej. Czas byłby zrozumieć istotę państwa ludowego.

7. Należy znacznie zmniejszyć ilość podejmowanych imprez, skończyć z bezzasadnie szybkim tempem wykonywania podjętych prac, odciążyć samodzielną kadrę naukową, umożliwić jej pełny udział w życiu naukowym, którego warunkiem jest posiadanie czasu. Dziś na ogół samodzielny pracownik naukowy, jeśli nawet co pewien czas publikuje jakąś rozprawę — to nie ma czasu na pisanie recenzji (nie wewnętrznych oczywiście, lecz do druku) czy polemik. Recenzje piszą młodszy asystenci. W ten sposób poziomu nauki się nie podniesie.

PRÓBA STRATEGICZNEJ OCENY PERSPEKTYW DALSZEJ WALKI

Widziałem w ostatnich dniach parę tekstów, przygotowywanych do druku w redakcjach czasopism i wydawnictwach, tekstów po świeżych poprawkach autorskich. Zobaczyłem, jak można zrozumieć XX Zjazd.

Recepta jest bardzo prosta. Cytatę ze *S t a l i n a* zastąpić należy cytatą z *L e n i n a*. Cytatę z *W y s z y ń s k i e g o* lepiej skreślić. W dużym ustępie o korzyściach dla narodu ukraińskiego, białoruskiego i litewskiego z przyłączenia ich do caratu w końcu XVIII w. należy w jakimś zdaniu wstawić słowa: „choć carat okrutnie wyzyskiwał te narody“.

Zazdrość ogarnia: jak łatwe jest życie takiego badacza!

Ale widziałem i inne teksty. Inni autorzy inaczej zrozumieli XX Zjazd, tak jak przedtem swóicie rozumieli ideę Frontu Narodowego. Lekką ręką rezygnują z klasowej interpretacji dziejów. Stopniowo ujawniają swą solidarystyczną koncepcję, w której „wszyscy razem pracowaliśmy dla dobra naszej nieszczęśliwej Ojczyzny“ — jak mawiał Książę z „Lalki“.

Nie jestem bynajmniej za tym, by ci ostatni nie wypowiadali swych poglądów. Przeciwnie. Nie ma nic niebezpieczniejszego dla nauki marksistowskiej, jak stan rzeczy, w którym nie musi ona naprawdę i poważnie bronić swoich poglądów.

Ale niech będzie prawdziwa walka poglądów, niech będzie merytoryczna, konkretna polemika. Niech w jej toku zarysuje się wyraźnie granica między marksizmem a nie-marksizmem.

Myślę, że moje doświadczenia redakcyjne, o których przed chwilą opowiedziałem, dają podstawę do rokowania, jak będzie się kształtował front walki w rozpoczynającym się, nowym okresie. Mniej więcej tak, jak i w poprzednim. Będziemy walczyć z tymi samymi schematystami — tyle, że stosującymi nieco inne schematy. Z tymi samymi fałszerzami historii — tyle, że nieco inaczej ją fałszującymi. Z tymi samymi dogmatystami — tyle, że powołującymi się na nieco inny zestaw dogmatów. Z tymi wszystkimi, którzy faktyczne znaczenie przeżywanego przez nas przełomu świadomie chcą sprowadzić do zera, czy też nieświadomie nie potrafią poza to zero wyjść.

I tak samo jak dawniej, bardziej nawet niż dawniej, będą się nam w tej walce napraszali na sojuszników likwidatorzy marksizmu.

Ale siły walczące o postęp nauki powinny teraz wzrosnąć. Zbliży się do nich niejedyn, którego dotąd od marksizmu odstręczały narosłe na nim schorzenia. Zbliży się do nich teraz niejedyn, rozumnie myślący, którego dotąd słabość czy karierowiczostwo powstrzymywały od ujawniania swych myśli.

Co ważniejsza zaś siły walczące o postęp nauki powinny wzrosnąć dlatego, że walczący o niego będą mogli walczyć śmieiej, z bardziej podniesionym czołem, niekrępowani „wstydliwymi“ punktami, przeciwko którym wystąpić nie można, a których bronić niesposób.

Najdonioślejszą przemianą w przeżywanym przez nas obecnie przełomie powinno być to, że wolno nam będzie walczyć o całą prawdę, bez ryzyka stania się narzędziem w ręku wroga.

Obowiązkiem naszym jest wykorzystywać tę szansę od zaraz, natychmiast. Przeszkodzić tym, którzy chcieliby znaczenie XX Zjazdu sprowadzić do zmiany arsenału cytat.

Taki obowiązek ciąży dziś na wszystkich, nie tylko na historykach. Każdego dnia przekonujemy się, jak prawdziwym jest to, czegośmy się uczyli i czego sami uczymy: że decyduje aktywność mas. Decyduje nasza działalność.

O tym, kto by próbował stanąć temu wielkiemu dziełu na przeszkodzie, nasze wnuki w szkołach uczyć się będą jako o wrogu ludu — bez cudzysłowu.